

W departamencie... Lepiej jednak nie wymieniać, w jakim departamencie. Nie ma nic bardziej gniewliwego nad wszelakie departamenty, pułki, kancelarie - słowem, wszelkiego rodzaju kasty urzędowe. Dziś nawet pierwszy lepszy człowiek prywatny uważa, że w jego osobie obrażone zostało całe społeczeństwo. Powiadają, że niedawno wpłynęło do władz podanie jakiegoś naczelnika policji - nie pamiętani już, w jakim mieście - w którym to podaniu wyklada on dobitnie, że ustawy państwowe walą się, ponieważ jego święte imię wymawiane bywa całkiem po próżnicy; na dowód czego załączył do podania ogromniasty tom jakiegoś utworu romantycznego, gdzie co dziesięć stron zjawia się naczelnik policji, niekiedy nawet w stanie całkowicie nietrzeźwym. Toteż gwoli uniknięcia wszelkich nieprzyjemności nazwijmy lepiej departament, o którym rzecz prowadzimy - p e w n y m d e p a r t a m e n t e m.

Otóż w p e w n y m d e p a r t a m e n c i e służył p e w i e n u r z ę d n i k - urzędnik, o którym nie można powiedzieć, żeby się czymś wyróżniał: niziutkiego wzrostu, nieco dziobaty, nieco ryżawy, nawet jak gdyby nieco przyślepy, z niewielką tysinką nad czołem, ze zmarszczkami na obu policzkach i z cerą twarzy, jak to mówią, hemoroidalną... Co począć? Winien jest klimat petersburski. Co się tyczy jego rangi (u nas bowiem przede wszystkim należy zacząć od rangi), był on tym, co się nazywa wiecznym radcą tytularnym, do woli, jak wiadomo, wykpionym i wyszydzonym przez różnych pisarzy, mających chwalebny zwyczaj napastowania tych, którzy się nie mogą odgrzyźć. Nazwisko urzędnika brzmiało: Kamaszkin. Widać z niego, że musiało niegdyś powstać od kamasza; kiedy to jednak i w jaki sposób nastąpiło - nic o tym nie wiadomo. I ojciec jego, i dziad, i nawet szwagier, i wszyscy jak jeden Kamaszkinowie chodzili w butach, zmieniając tylko ze trzy razy do roku zelówki. Na imię miał Akakiusz. Być może, wyda się ono czytelnikowi nieco dziwne i wyszukane, wolno jednak że zapewnić, że nie szukano go nigdzie, natomiast złożyły się tak same przez się okoliczności, że żadną miarą nie można mu było dać innego imienia. Stało się to mianowicie tak. Urodził się Akakiusz Kamaszkin jakoś na noc, o ile nas pamięć nie myli, z 22 na 23 marca. Nieboszczka matka jego, również żona urzędnika i bardzo pocziwa kobieta, postanowiła ochrzcić dziecko jak przystoi. Leżała jeszcze w łóżku, na wprost drzwi, a po prawej jej ręce stał kum, zacności człowiek, Iwan Iwanowicz Jeroszkin, referent z senatu, oraz kuma, żona naczelnika cyrkułu, niewiasta rzadkich cnót, Arina Siemionowna Biełobriuszkowa. Położnicy dano do wyboru trzy imiona: Mokiusza, Sosjusza lub też męczennika Chozdazata.

- Nie - pomyślała nieboszczka - imiona wszystkie jakieś takie...

Żeby jej dogodzić, otwarto kalendarz w innym miejscu: wypadły znowu trzy imiona: Tryfiliusz, Dulusz i Barachaszus.

- A to skaranie boskie! - powiedziała nieboszczka. - Co za imiona! Doprawdy, nigdy w życiu nie słyszałam takich. Niechby jeszcze Baradat albo Baruch, ale Tryfiliusz i Barachaszus...

Odwrócono jeszcze kartę: wypadł Fauzykachiusz i Bachtysjusz.- Widzę - rzekła nieboszczka - że taki już jego los. A jeżeli tak, niech się lepiej nazywa tak samo jak ojciec. Ojciec - Akakiusz, niech i syn będzie, Akakiusz. W taki sposób powstał Akakiusz Akakiuszowicz Kamaszkin. Dziecko ochrzczono; przy chrzcie tak zapłakało i zrobiło taki grymas, jak gdyby przeczuwało, że będzie z niego radca tytularny. Oto więc w jaki sposób wszystko to się stało. Przytoczyliśmy to w tym celu, żeby czytelnik sam mógł się przekonać, że wydarzyło się to z konieczności, i nadać innego imienia nijak nie było można. Kiedy i w jakich okolicznościach pan Akakiusz wstąpił do departamentu i kto go tam urządził - tego nikt nie pamięta. Wielu się zmieniło dyrektorów i rozmaitych naczelników, a jego widziano wciąż na tym samym miejscu, na tym samym stanowisku, przy tych samych czynnościach, wciąż jako urzędnika od przepisywania - tak że wreszcie wszyscy byli pewni, iż pan Akakiusz snadź przyszedł już na świat w stanie całkowicie gotowym, w urzędniczym mundurze, z łysiną na głowie. W departamencie nie okazywano mu żadnego szacunku. Woźni nie tylko nie podnosili się ze stołków, kiedy przechodził, ale nawet nie patrzyli na niego, jak gdyby przez poczekalnię przelatowała zwykła mucha. Przełożeni traktowali go jakoś zimno, despotycznie. Byle jaki pomocnik referenta wtykał mu pod nos papiery, nie mówiąc nawet: "Proszę przepisać" albo: "Oto ciekawa, przyjemna korespondencyjka" lub coś równie miłego, jak to bywa we zwyczaju w eleganckich urzędach. I pan Akakiusz brał, spojrzawszy tylko na papier, nie patrząc, kto mu go podsunął i czy miał do tego prawo; brał i natychmiast przystępował do przepisywania. Młodzi urzędnicy wyśmiewali się z niego i podżartowywali, ile im starczyło dowcipu kancelaryjnego; opowiadali wobec niego najrozmaitsze, wymyślone o nim historie; o jego gospodyni, siedemdziesięcioletniej babinie, mówili, że go bije; pytali, kiedy się odbędzie ich wesele; sypali mu na głowę papierki, nazywając to śniegiem. Ale pan Akakiusz nie odpowiadał na to ani słówkiem, jak gdyby w ogóle nikogo przy nim nie było. Nie miało to nawet wpływu na jego pracę: wśród wszystkich tych dokuczliwości nie robił ani jednego błędu w pisaniu. Dopiero gdy figiel był już całkiem nie do zniesienia, gdy trącano go w łokieć, przeszkadzając w pisaniu, szeptał:

- Przestańcie. Czemu mnie krzywdzicie?

I coś dziwnego brzmiało w jego słowach i w głosie, jakim je wypowiadał. Dawało się w nim słyszeć coś takiego, co budziło litość - tak że pewien młodzieniec, od niedawna urzędujący, który za przykładem innych pozwolił sobie na drwiny z niego, stanął nagle jak przeszyty i od tej chwili wszystko jak gdyby przemieniło się dokoła niego i ukazało w innej postaci. Jakaś siła nadprzyrodzona odepchnęła go od kolegów, z którymi pozawierał był znajomości, biorąc ich za przyzwoitych, dobrze wychowanych ludzi. I nieraz potem, w chwilach najweselszych, stawał mu w oczach niziutki urzędnik z tysinką nad czołem, i młodzieniec słyszał jego przejmujące słowa:

- Przestańcie. Czemu mnie krzywdzicie?

A w tych słowach przejmujących pobrzmiwały inne słowa:

- Jam brat twój.

I biedny młodzieniec zakrywał twarz ręką, i wiele razy potem wzdrygał się w życiu swoim, widząc, ile jest w człowieku nieludzkości, ile rozjuszonego chamstwa kryje w sobie wyrefinowana, ukształcona światowość - i, o Boże! - nawet ten człowiek, którego świat uznał za szlachetnego i uczciwego. Wątpliwe, czy dałoby się znaleźć człowieka, który by się tak wywiązywał ze swoich obowiązków jak pan Akakiusz. Za mało jest powiedzieć, że służył gorliwie: nie - on służył z miłością. Tam, w tym przepisywaniu, zwidywał mu się jakiś własny, urozmaicony i przyjemny świat. Na twarzy je go malowała się rozkosz; niektóre litery były jego ulubienicami i gdy się dobierał do nich, był po prostu nieswój: i podśmiewał się, i mrugał porozumiewawczo, i pomagał sobie wargami - tak że na twarzy jego można było, zda się, odczytać każdą literę, którą na papierze wykreślało jego pióro. Gdyby stosownie do jego żarliwości dawano mu awanse, ujrzałby się, ku swemu zdziwieniu, być może, nawet radcą stanu, lecz dochrapał się tylko, jak mawiali dowcipnisie - jego koledzy, guzika do pętelki i dorobił się hemoroidów. Z tym wszystkim niepodobna utrzymać, by nie zwracano na niego całkiem uwagi. Jakiś dyrektor, poczciwy człowiek, chcąc go wynagrodzić za wierną służbę, kazał mu dać coś ważniejszego niż zwykle przepisywanie; mianowicie - na podstawie gotowego już aktu polecono mu sporządzić jakieś pismo do innego urzędu; rzecz polegała tylko na tym, że trzeba było zmienić nagłówek i przerobić gdzieś czasowniki z pierwszej osoby na trzecią. Sprawiało mu to tyle trudności, że spocił się jak mysz, tarł czoło i wreszcie rzekł:

- Nie. Dajcie mi lepiej coś do przepisania.

Odtąd stał się już na zawsze przepisywaczem. Poza przepisywaniem nic, zda się, dla niego nie istniało. Nie myślał wcale o swoim ubraniu: jego mundur urzędniczy nie był zielony, lecz jakiejś barwy rudawomącznej. Kołnierzyk miał wąziutki, niziutki, że szyja Akakiusza, mimo że nie była długa, wychodząc z kołnierzyka wydawała się niezwykle długa, niczym szyja owych gipsowych kociaków, co to kiwają głowami, sprzedawanych na ulicach przez domokrążców. I zawsze coś musiało się czepić jego munduru: albo źdźbło siana, albo jakaś nitka; na dobytek posiadał szczególną umiejętność: idąc ulicą nadążał zawsze pod okno w owej właśnie chwili, gdy wyrzucano przez nie wszelakie paskudztwo, i skutkiem tego wечно nosił na swoim kapeluszu skórki od kawonów i dyń i tym podobne terefele. Ani razu w życiu nie zwrócił uwagi na to, co się dzieje i odbywa codziennie na ulicy, którym to widokom, jak wiadomo, przypatrują się zawsze kamraci jego - młodzi urzędnicy, doprowadzając przenikliwość swego wzroku do takiego ostrowidztwa, że dostrzegają nawet, komu po drugiej stronie chodnika odpruło się u dołu pantalonów strzemiączko - co wywołuje stale chytry uśmiech na ich twarzach. Lecz pan Akakiusz, jeśli nawet spojrzał na coś, widział wszędzie swoje czyściutki, równym charakterem zapisane linijki i chyba tylko, gdy - nie wiedząc skąd się biorąc - pysk koński kładł mu się na ramię i puszczał nozdrzami istny wiatr na jego policzek, dopiero wówczas Akakiusz zauważał, że jest nie w środku wiersza, lecz raczej w środku ulicy. Przyszedłszy do domu siadał natychmiast do stołu. Chłęptał na chybcika swój kapuśniak i zjadał kawałek wołowiny z cebulą, nie zwracając uwagi na smak stawy; zjadał to wszystko z muchami i z tym, co zsyła Pan Bóg o tej porze. Spostrzegłszy, że żołądek zaczyna pęcznić, wstawał od stołu, wyciągał fiaszeczkę z atramentem i przepisywał papiery przyniesione do domu. Jeśli takowych nie było, robił umyślnie, dla własnej przyjemności, odpisy dla siebie, zwłaszcza gdy papier wyróżniał się nie ozdobnością stylu, lecz skierowany był do jakiejś nowej i znacznej osobistości. Nawet o tej godzinie, gdy szare niebu petersburskie gaśnie zupełnie i wszystek naród urzędniczy nasycił się już i pozjadał swe obiady, sporządzone wedle możliwości, odpowiednio do otrzymywanej pensji i osobistych zachcianek; gdy wszystko już odpoczęło od departamentalnego skrzypienia piór i bieganiny, od swoich i cudzych koniecznych interesów i od tego wszystkiego, co sobie narzuca dobrowolnie, więcej niż trzeba, krzątający się bezustannie człowiek, gdy urzędnicy śpieszą się, by poświęcić resztę czasu przyjemnościom: kto śmielszy, ten mknie do teatru; ktoś inny na ulicę, przeznaczając swój czas na przyglądanie się jakimś kobietkom; inny spędza go na wieczorku, prawiąc dusery jakiejś przylepeczce - gwiazdce małego światka urzędniczego; inny wreszcie - i to się zdarza najczęściej - idzie wprost do swego kamrata, na trzecie czy drugie piętro, do dwóch niedużych pokoików z przedpokojem albo z kuchnią z pretensjami do ostatniej mody, z lampą albo z innym

gracikiem zdobytym za cenę wielu wyrzeczeń, odmawiania sobie obiadów i rozrywek - słowem - nawet o tej godzinie, gdy się wszyscy urzędnicy rozpraszają po malutkich mieszkankach swych przyjaciół, by zagrać w wista, popijając herbatę z groszowymi sucharkami, zaciągając się dymem z długich cybuchów, opowiadając sobie przy rozdawaniu kart jakąś płótkę zawleczoną z wyższego świata, który nęci Rosjanina zawsze i wszędzie; albo też, gdy już nie ma o czym gadać, powtarzają odwieczną anegdotę o policmajstrze, którego zawiadomiono, że został nadrabany ogon koński z pomnika Piotra Wielkiego - słowem - nawet wówczas gdy wszystko dąży do rozrywki, pan Akakiusz nie oddawał się żadnej rozrywce. Nikt nie mógł powiedzieć, żeby kiedykolwiek widział go na jakiegokolwiek zabawie. Gdy się nasycił pisaniem - ile dusza zapagnie - kładł się spać, uśmiechając się zawczasu na myśl o dniu jutrzejszym: co też mu Pan Bóg ześle jutro do przepisywania? Tak upływało ciche życie człowieka, który przy czterech setkach pensji rocznej umiał być zadowolony ze swego losu i być może dopłynęłoby do późnej starości, gdyby nie różne niedole, jakie napotykają na drodze swego życia nie tylko tytułarni, ale nawet tajni, rzeczywisci, nadworni i najrozmaitsi radcy, nawet ci, którzy nikomu rad nie dają i od nikogo ich nie przyjmują. Jest w Petersburgu potężny wróg tych wszystkich, którzy otrzymują rocznie 400 rubli pensji lub coś koło tego. Ten wróg - to nikt inny jeno nasz mróz północny, aczkolwiek powiadają, że jest on bardzo zdrowy. O godzinie dziewiątej z rana, właśnie o tej godzinie, gdy czeredy idące do departamentów wylegają na ulice, zaczyna on dawać takie mocne i szczypiące szcutki we wszystkie bez różnicy nosy, że biedni urzędnicy absolutnie nie wiedzą, gdzie je podziać. W takich chwilach, kiedy nawet wysokich dygnitarzy bolą od mrozu czoła i tzy stają im w oczach, biedni radcy tytułarni bywają niekiedy bezbronni. Cały ratunek polega na tym, żeby w wåtłutkim szyneliku przebiec, jak można najszybciej, pięć - sześć ulic, a potem natupać się porządnie w szatni, dopóki nie odtają tym sposobem wszystkie zamarzłe po drodze umiejętności i zdolności do zatrudnień urzędowych. Pan Akakiusz od niejakiego czasu zaczął odczuwać, że go coś szczególnie mocno przypieka w plecy i w ramię, mimo że usiłował jak najszybciej przebiegać prawem przepisana odległość. Pomyślał wreszcie, czy nie ma w tym czasami winy jego szynela. Zbadawszy go dokładnie w domu, odkrył, że w paru miejscach, mianowicie na plecach i na ramionach, zrobiła się z niego istna tkanka: sukno przetało się do tego stopnia, że przeświecało, a podszewka rozlazła się. Trzeba wiedzieć, że szynel pana Akakiusza stanowił również przedmiot kpin urzędników. odjęto mu nawet szlachetne imię szynela, nazywając go kapotą. W rzeczy samej cechowały go jakieś dziwne właściwości: pelerynka jego kurczyła się coraz bardziej z każdym rokiem, służyła bowiem do sztukowania i łatania innych jego części. Sztukowanie nie świadczyło o mistrzostwie krawca i wyglądało rzeczywiście workowato i nieładnie.

Przekonawszy się, jak rzeczy stoją, pan Akakiusz postanowił, że szynel trzeba będzie zanieść do krawca Pietrowicza, który mieszkał gdzieś na trzecim piętrze z wejściem od kuchni i pomimo swego bielma na jednym oku i dziobów na całej twarzy trudnił się dosyć skutecznie naprawianiem urzędniczych tudzież wszelakich innych pantalonów i fraków, oczywista wówczas, gdy bywał w stanie trzeźwości i nie żywił w sercu żadnych innych zamiarów. O krawcu tym, naturalnie, nie byłoby potrzeby się rozwódzić, lecz wobec tego, że tak już jest ustalone, iż w powieści charakter każdej postaci musi być dokładnie zarysowany - trudna rada: dawać nam tutaj Pietrowicza! Najpierw nazywał się on zwyczajnie Grzegorzem i był chłopem pańszczyźnianym jakiegoś dziedzica; Pietrowiczem zaczął się zwać od czasu, gdy został usamowolniony i jął popijać dosyć tęgo w każde święto - początkowo uroczyste - a potem w ogóle bez wyboru każdego dnia oznaczonego w kalendarzu krzyżykiem. Pod tym względem dochował wiary obyczajom pradziadowskim i kłócąc się z żoną nazywał ją kobietą ziemską i heretyką Niemknią. Wobec tego, żeśmy już zawadzili o żonę, trzeba i o niej parę słów powiedzieć; niestety niewiele o niej wiemy: chyba tylko to, że Pietrowicz miał żonę, która nawet nosiła czepek, nie chustkę; urodą, jak się zdaje, nie grzeszyła: co najwyżej żołnierze gwardii, mijając ją, zaglądali jej pod czepek i ruszali wąsem, wydając przy tym jakiś szczególny głos.

Wspinając się po schodach wiodących do Pietrowicza, które - oddajmy im sprawiedliwość - były gruntownie wymaszczone pomyjami i wodą oraz przesiąknięte na wskroś tym zapachem gorzelnianym, co gryzie oczy i jest, jak wiadomo, nieodłączny od wszystkich schodów kuchennych w kamienicach petersburskich - wspinając się po schodach, pan Akakiusz rozmyślał już o tym, ile zaceni Pietrowicz, i postanowił w duszy nie dawać mu więcej niż dwa ruble. Drzwi były otwarte, ponieważ gospodyni, smażąc jakąś rybę, tak nadymiła w kuchni, że nie było widać nawet karaluchów. Pan Akakiusz przeszedł przez kuchnię, nie zauważony nawet przez gospodynię, i wkroczył do izby, gdzie ujrzał Pietrowicza, siedzącego na szerokim, drewnianym, nie bejcowanym stole, z nogami podwiniętymi jak pasza turecki. Stopy jego, wedle zwyczaju krawców siedzących przy robocie, były bose; w oczy pana Akakiusza rzucił się przede wszystkim jego duży palec, dobrze mu znany, z jakimś spotworniałym paznokciem, grubym i twardym jak skorupa żółwia. Z karku Pietrowicza zwiślał motek jedwabiu i nici, a z kolan jakiś łach. Od kilku minut nawlekał igłę nie trafiając w uszko, toteż złościł się wielce na ciemności i nawet na samą nitkę, mrużąc półgłosem:

- Nie włazi, łajdaczka! Zamęczyłaś ty mnie, szelmo jedna!

Panu Akakiuszowi zrobiło się markotno, że przyszedł właśnie w takiej chwili, gdy Pietrowicz się złościł, lubił bowiem czynić u niego zamówienia wówczas, kiedy Pietrowicz miał nieco w czubie albo - jak się wyrażała jego żona - "ochwacił się siwuchą, ciort jednooki". W takich stanach Pietrowicz zazwyczaj chętnie opuszczał z ceny, zgadzał się na wszystko, kłaniał się nawet i dziękował. Potem co prawda przychodziła żona z biadoleniem, że mąż niby był pijany i dlatego podjął się tak tanio, ale dorzuci się, bywało, dziesiątkę - i po krzyku. Teraz zaś Pietrowicz był, jak się zdaje, w stanie trzeźwości, więc skutkiem tego twardy, nieustępliwy i skłonny do wyśrubowania ceny, diabeł wie jak wysoko. Pan Akakiusz zmiarkował to od razu i chciał, jak to się mówi, dać drapaką, ale początek był już zrobiony. Pietrowicz przymrużył na niego badawczo swoje zdrowe oko, więc pan Akakiusz wyszeptał mimo woli:

- Jak się masz, Pietrowicz!

- Powitać pana dobrodzieja! - rzekł Pietrowicz i wywrócił swe oko na rękę pana Akakiusza, chcąc wypatrzeć; jakiego rodzaju przynosi on zdobycz.

- A ja tu do ciebie, Pietrowicz, tego...

Trzeba wiedzieć, że pan Akakiusz wystawiał się przeważnie za pomocą przyimków, przysłówków i takich wreszcie cząstek wyrazowych, które absolutnie nie mają żadnego znaczenia. Gdy zaś rzecz nastęrczała szczególnych trudności, miał zwyczaj w ogóle nie kończyć zdania, toteż bardzo często zaczynał przemówienia od słów: "To, doprawdy, zupełnie tego...", a potem już nic nie dodawał, zapominając wątku i mniemając, że powiedział już wszystko.

- Cóż takiego? - zapytał Pietrowicz lustrując jednocześnie swym zdrowym okiem cały mundur pana Akakiusza, poczynając od kołnierza aż po rękawy, plecy, fałdę i pętelki, wszystko to bowiem było mu dobrze znane, jako że stanowiło dzieło rąk jego. Taki już zwyczaj mają krawcy pierwsza rzecz - muszą klienta obejrzeć.

- A ja otóż tego... ten, Pietrowicz... szynel właśnie... sukno, sam widzisz, wszędzie zupełnie mocne... troszkę się zakurzyło i wygląda jak gdyby stare a jest nowe, tylko w jednym miejscu troszkę tego... na plecach... i tego, na jednym ramieniu trochę się przetarło... i na tym też troszeczkę... widzisz? To wszystko... i roboty niewiele...

Pietrowicz wziął kapotę, rozłożył ją na stole, oglądał długo, pokiwał głową i sięgnął ręką na okno po okrągłą tabakierkę z wizerunkiem jakiegoś generała - jakiego mianowicie, nie wiadomo, ponieważ miejsce, gdzie miał twarz, było przedziurawione palcem i zalepione czworokątnym kawałeczkiem papieru. Zażywszy tabaki, Pietrowicz rozpostarł kapotę na rękach i obejrzał pod światło, i znowu pokiwał głową; po czym wywrócił ją podszewką do góry i znowu pokiwał; otworzył znowu pokrywkę z generałem zalepionym papierkiem i wciągnąwszy w nos tabaki zamknął tabakierkę, schował ją i rzekł na koniec:

- Nic z tego. Naprawić się nie da: garderoba kiepska.

Na te słowa w panu Akakiuszu zakołatało serce.

- Dlaczego się nie da, Pietrowicz?. - zapytał błagalnym prawie głosem dziecka. - Tyle przecież, że się na ramionach przetarło... masz chyba jakieś skrawki...

- Skrawki naturalnie można znaleźć, skrawki się znajdują - powiedział Pietrowicz - ale naszyć ich nie ma gdzie; rzecz jest całkowicie zgniła: tkniesz igłą, a rozłazi się w zupełności.

- Niechaj się rozłazi, a ty zaraz łateczkę.

- Ale łateczki nie ma na co nałożyć, wzmocnić jej nie ma na czym: podtrzymania żadnego. Cały punkt honoru, że sukno, a niech tylko wiatr dmuchnie - rozleci się.

- Ale jakoś tam przymocuj. Jakżeż to tak, doprawdy, tego...

- Nie - odparł Pietrowicz stanowczo - nic się nie da zrobić. Rzecz całkiem kiepska. Jak nadejdzie zimowa pora, niech pan sobie z tego narobi onucek, ponieważ skarpeta nie grzeje. Niemcy ją wymyślili, żeby więcej pieniędzy wyłudzić (Pietrowicz lubił przy sposobności dociąć Niemcom). A względem szynela wygląda na to, że trzeba będzie sobie nowy sprawić. Na słowo "nowy" panu Akakiuszowi zaćmiło się w oczach i wszystko, co było w izbie, zakołatało przed nim. Widział wyraźnie tylko jednego generała z zalepioną papierkiem twarzą - na wieczku tabakiery Pietrowicza.

- Jak to nowy? - zapytał jak we śnie - Nie mam przecież na to pieniędzy.

- Tak jest, nowy - odrzekł z szatańskim spokojem Pietrowicz.

- Więc... gdyby do tego doszło, ileż by on tego...?- To jest, co by kosztował?

- Tak.

- No, ze trzy półsetki z ogonkiem trzeba by wyłożyć - powiedział Pietrowicz zaciskając wymownie wargi. Lubił on silne efekty, lubił nagle zaskoczyć klienta, a potem spojrzeć z ukosa, jak też zaskoczonemu wyciągnie się gęba po takich słowach.

- Sto pięćdziesiąt rubli za szynel! - wrzasnął biedny pan Akakiusz, wrzasnął, być może po raz pierwszy w życiu, odznaczał się bowiem zawsze cichością głosu.

- Tak jest - powiedział Pietrowicz - ale za to, co za szynel! Jeśli do tego dodać kuny na kołnierz, a pod kaptur jedwabnej podszewki, dociągnie do dwustu.

- Pietrowicz, zmiłuj się! - mówił pan Akakiusz głosem błagalnym, nie słysząc i nie starając się nawet słyszeć ani słów Pietrowicza, ani wszystkich jego efektów. - Jakoś tam napraw, żeby mi jeszcze troszeczkę mógł służyć.

- Gdzie tam! Szkoda mojej roboty i pańskich wyrzuconych pieniędzy - powiedział Pietrowicz i pan Akakiusz po tych słowach wyszedł całkowicie unicestwiony. Pietrowicz zaś po jego wyjściu długo stał bezczynnie, wymownie zacisnąwszy wargi, zadowolony, że i godności swej nie poniżył, i kunsztowi krawieckiemu wstydu nie zrobił. Znalazłszy się na ulicy pan Akakiusz szedł jak we śnie.

- Takaż to sprawa takowa - mówił do siebie - doprawdy nie myślałem, żeby to tak tego... Po czym po krótkim milczeniu dodał:

- Otóż to tak... nareszcie oto wynikło... a ja, doprawdy... nawet mi do głowy nie przyszło, żeby to aż tak... Po czym nastąpiło znowu dłuższe milczenie, po którym pan Akakiusz wyrzekł:

- Oto, jak to tak! Taka już nieoczekiwana, w żaden... tego... ten... sposób... takowa okoliczność! Co powiedziawszy, zamiast się udać do domu, poszedł całkiem w przeciwną stronę, nie zdając sobie z tego sprawy. Po drodze potrącił o niego całym swym wysmolonym bokiem kominiarz i wyczernił mu ramię; wielka czapa wapna posypała się na niego ze szczytu budowanej kamienicy. Nic z tego nie zauważył i dopiero wówczas, gdy się natknął na stójkowego, który odstawivszy halabardę wytrząsał z rożka tabakę na swoją zaskorupiałą pięść - dopiero wówczas ocknął się pan Akakiusz, i to tylko dzięki temu, że stójkowy fuknął:

- Czego się pchasz na pysk? Nie dosyć ci tretułaru?

Zmusiło to pana Akakiusza do zastanowienia się i powrotu do domu. Dopiero tutaj zaczął zbierać myśli, rozważył należycie swoje położenie, jął rozmawiać ze sobą już nie urywanie, lecz rozsądnie i szczerze, jak z rozumnym przyjacielem, z którym można pomówić o sprawach najbardziej osobistych i poufnych.- Nie - powiedział sobie - teraz z Pietrowiczem nie ma co gadać, teraz on... tego... żona, widać, wytlukła go. Zajdę lepiej do niego w niedzielę rano: po sobocie będzie bardzo zezował, będzie zaspany i zechce się podchmielić, a żona pieniędzy nie da; więc ja mu wtedy tego... dziesiątkę w łapę... zrobi się rozmowniejszy, ustępliwszy, i szynel wtenczas... tego... W ten sposób gawędząc ze sobą, rozstrzygnął pan Akakiusz sprawę, pokrzepił się na duchu i doczekał najbliższej niedzieli.

Spostrzegłszy już z daleka, że żona Pietrowicza wychodziła gdzieś z domu, pan Akakiusz - szust wprost do niego. Pietrowicz istotnie po sobocie mocno zezował, głowę zwiesił do podłogi i był całkiem zaspany. Z tym wszystkim, gdy się tylko dowiedział, o co chodzi, jakby szatan w niego wstąpił.

- Nie ma mowy - powiedział - raczy pan obstalować nowy.

Pan Akakiusz natychmiast wetknął mu dziesiątkę.

- Dzięki - odrzekł Pietrowicz - wzmocnię się żdziebełko za pańskie zdrowie. A względem szynela raczy się pan niepokoić: na żadną zdatność się nie nadaje. Zrobię panu nowy, jak się patrzy: wszelkiego starunku dołożymy. Pan Akakiusz nawrócił znowu do naprawy starego, ale Pietrowicz nie dosłyszał i odparł:

- Co się tyczy nowego, zrobię go panu niezawodnie; wedle tego raczy pan już na mnie polegać: wysiłku nie pożałujemy. Można będzie nawet, jak to moda teraz nastąpiła, żeby się kołnierz zapinał na metalowe łapki pod srebro.

Przekonał się nareszcie pan Akakiusz, że bez nowego szynela ani rusz, i upadł całkowicie na duchu. Jakżeż to tak, w rzeczy samej? Za co? Za jakie pieniądze go zrobić? Można by od biedy liczyć na przyszły dodatek świąteczny, ale kwota ta od dawna już miała swoje przeznaczenie i dziury do załatania. Należało się zaopatrzyć w nowe pantalone, spłacić u szewca stary dług za nowe przyszywy do starych cholew i zamówić u szwaczki trzy koszule tudzież ze dwie pary tej bielizny, której nazwy wymieniać w druku nie przystoi; słowem wszystkie pieniądze powinny się być rozejść i gdyby nawet dyrektor był tak miłośniwy, żeby zamiast czterdziestu rubli dodatku - wyznaczył czterdzieści pięć albo pięćdziesiąt, pozostałby przecie śmieszny drobiazg, który w kapitale szynelowym stanowiłby kroplę w morzu. Wiedział wprawdzie pan Akakiusz, że Pietrowicz miał zwyczaj wygłupiać się i zaśpiewać nieraz, diabli wiedzą jak wygórowaną cenę, że nawet żona jego nie mogła się czasami powstrzymać, żeby nie krzyknąć:

- Cóżes ty zbzikował, durniu jeden!. Innym razem bierze za robotę grosze a teraz lichy go podkuśiło zażądać takiej ceny, jakiej i sam nie wart!

Wiedział wprawdzie pan Akakiusz, że Pietrowicz przystanie i na osiemdziesiąt rubli: skąd jednak wydobyć te osiemnaściesiąt? Połowę, jeszcze by można jakoś znaleźć; połowę dałoby się wysuptać; może nawet troszkę więcej; ale skąd wziąć drugą połowę? Wszelako nasamprzód czytelnik musi wiedzieć, skąd by się wzięła pierwsza połowa. Pan Akakiusz miał zwyczaj od każdego wydanego rubla odkładać po groszu do niewielkiej skarbonki, zamykanej na kluczyk, z wyciętą w pokrywie dziurą do wrzucenia miedziaków. Co półrocze przeliczał uciulaną w miedziakach kwotę i wymieniał ją na drobne srebro. Tak postępował od dawna, i tym sposobem w ciągu kilku lat uzbierał sobie przeszło czterdzieści rubli. Połowa tedy gotówki była. Ale skąd wziąć drugą połowę? Skąd wytrzasnąć jeszcze czterdzieści rubli? Pan Akakiusz myślał, myślał - i po stanowił, że trzeba będzie zmniejszyć codzienne wydatki, przynajmniej na przeciąg jednego roku: zaprzestać picia herbaty wieczorem, nie palić wieczorami świecy; jeśli by zaś wypadło coś zrobić, udawać się do pokoju gospodyni i pracować przy jej świeczce; chodząc ulicami stąpać jak najlżej i najostrożniej po bruku i chodnikach, niemal na palcach, żeby nie zdzierać przedwcześnie zelówek; jak najrzadziej oddawać bieliznę do prania; żeby zaś jej nie zapaść, za każdym razem po przyjściu do domu zdejmować ją i pozostawiać tylko w szlafroku bawełnianym, bardzo starym i oszczędzonym nawet przez czas. Trzeba wyznać prawdę, że początkowo było mu dosyć trudno naginać się do takich ograniczeń, lecz stopniowo się przyzwyczaił i wszystko jakoś się ułożyło; wdroył się nawet do zupełnego głodowania wieczorami; lecz za to żywił się duchem, piastując w myśli nieśmiertelną ideę przyszłego szynela. Odtąd jak gdyby samo jego istnienie nabrało większej treści; odtąd jak gdyby się ożenił; jak gdyby jakiś drugi człowiek był w nim obecny; jak gdyby był już nie sam, lecz jakaś miła towarzysząca życia zgodziła się odbywać z nim wędrówkę życiową - a towarzyszką tą była myśl o szynelu na grubej wacie, na mocnej podszewce nie do zdarcia. Pan Akakiusz stał się bardziej ożywiony, nabrał nawet jakiejś mocy charakteru, jak człowiek, który wytknął sobie i zakreślił wyraźny cel. Jego oblicze i postępkę wyzbyły się same przez się wątpliwości, niezdecydowania - słowem, wszystkich chwiejnych i niewyraźnych cech. Ogień niekiedy iskrzył się w jego oczach, przez głowę przebiegały najbardziej zuchwałe myśli: a nuż rzeczywiście zrobić kołnierz z kuny? Rozmyślenia o tym o mało go nie przyprawiły pewnego razu o roztargnienie. Przepisując papier o mały włos nie zrobił błędu - aż krzyknął niemal głośno: "ojej!" i przeżegnał się. Przynajmniej raz na miesiąc odwiedzał Pietrowicza, żeby pogawędzić o szynelu: gdzie najlepiej kupić sukna i jakiego koloru, i w jakiej cenie; i - acz nieco zatroskany - lecz zawsze zadowolony, powracał do domu, tuszając, że wreszcie nadejdzie czas, gdy się to wszystko zakupi i szynel będzie zrobiony. Rzecz wzięła obrót nadspodziewanie szybszy. Wbrew przypuszczeniom pana Akakiusza dyrektor wyznaczył mu nie czterdzieści czy też czterdzieści pięć rubli, lecz okrągiło aż sześćdziesiąt. Czy przeczuwał może, że pan Akakiusz potrzebuje szynela, czy samo przez się tak się złożyło - dość, że pan Akakiusz ujrzał się w posiadaniu nadwyżki dwudziestu rubli. Ta okoliczność przyspieszyła bieg sprawy. Jeszcze parę miesięcy niewielkiej głodówki - i pan Akakiusz uzbierał istotnie około osiemdziesięciu rubli. Serce jego, na ogół dość spokojne, poczęło walić. Tegoż dnia udał się wraz z Pietrowiczem po zakupy. Nabyli sukna dobrego - i nie dziwota, myśleli bowiem o tym od pół roku i co miesiąc zaglądali do sklepów, żeby się przewidzieć o ceny. Ale też sam Pietrowicz oświadczył, że lepszego sukna ze świecą nie znaleźć. Na podszewkę wybrali grubej satyny, ale tak ściślej i w tak dobrym gatunku, że - zdaniem Pietrowicza - lepsza była od jedwabiu i nawet z wyglądu okazalsza i bardziej połyskliwa. Kuny nie kupili, dlatego że była rzeczywiście za droga, ale za to wybrali kota, najlepszego, jakiego znaleźli w sklepie - kota, którego z daleka zawsze można było wziąć za kunę. Pietrowicz marudził nad szynelem całego kramu dwa tygodnie, ponieważ było dużo stebnowania; gdyby nie to, szynel byłby gotów wcześniej. Za robotę wziął dwanaście rubli - mniej nie można było w żaden sposób: wszystko bez wyjątku szyte było jedwabiem, podwójnym drobnym ścięciem, a każdy ściąg Pietrowicz wygniatał własnymi zębami, wyciskając na nim różne esy-floresy. Działo się to... Niepodobna ściśle określić, jakiego mianowicie dnia, był to jednak dzień w życiu pana Akakiusza najbardziej uroczysty, gdy Pietrowicz przyniósł nareszcie szynel. Przyniósł go z rana, właśnie na krótko przed tym, gdy należało iść do departamentu. Była to pora w ogóle jak najbardziej odpowiednia, albowiem zaczynały się już dosyć ostre mrozy i zanosilo się na to, że się zwiększą. Pietrowicz zjawił się z szynelem, jak przystało na dobrego krawca. Przybrał taki znaczący wyraz twarzy,

jakiego pan Akakiusz nigdy jeszcze nie widział. Wydawało się, iż czuł w całej pełni, że dokonał dzieła wielkiego i ukazał nagle tę przepaść, jaka dzieli partacza, który sztukuje tylko podszewkę i trudni się przeróbkami, od mistrza, co szyje nowe odzienie. Wyjął szynel z chustki, w której go przyniósł (chustka była dopiero co od praczki; potem zwinął ją i złożył do kieszeni, żeby ją użytkować). Wyjąwszy szynel, spojrzął nań z dumą i, ujmując w obie ręce, narzucił go nader zgrabnie na ramiona pana Akakiusza, po czym poprawił go i obciągnął z tyłu ręką ku dołowi; po czym udrapował go na nim, odstawiając nieco pierś pana Akakiusza. Pan Akakiusz, jako człowiek już w latach, chciał spróbować na rękawy. Pietrowicz pomógł mu włożyć na rękawy: wypadło, że i na rękawy leży, równie dobrze jak w narzutkę. Krótko mówiąc, okazało się, że szynel pod każdym względem jest doskonały. Pietrowicz nie omieszkął przy sposobności zaznaczyć, że to tylko tak - dlatego że mieszka bez szyldu przy bocznej ulicy i od dawna zna pana Akakiusza, dlatego wziął tak tanio, bo na Newskim Prospekcie zażądano by za samą tylko robotę siedemdziesiąt pięć rubli. Pan Akakiusz nie chciał o tym rozprawiać, lękał się zresztą tych zawrotnych sum, jakimi Pietrowicz lubił czarować. Zapłacił więc należność, podziękował i poszedł natychmiast w szynelu do departamentu. Pietrowicz udał się śladem za nim i przystanąwszy na chodniku długo patrzył z daleka na szynel, po czym skręcił umyślnie w łukowaty zaułek, żeby zabiec panu Akakiuszowi drogę i spojrzeć raz jeszcze na swój szynel z drugiej strony, to znaczy od przodu. Tymczasem pan Akakiusz szedł, nastrojony we wszystkich swych uczuciach najbardziej odświętnie. Co chwileczka, co ułamek chwileczki czuł, że ma na ramionach nowy szynel, i kilka razy uśmiechnął się nawet, pełen wewnętrznej błogości. Jakoż korzyść podwójna: raz, że ciepło, po drugie - przyjemnie. Ani się spostrzegł, jak odbył długą drogę i znalazł w departamencie. W szatni zdjął szynel, obejrzał go ze wszystkich stron i polecił szczególnej opiece woźnego. Nie wiedząc jakim cudem wszyscy się wnet dowiedzieli w departamencie, że pan Akakiusz ma nowy szynel i stara kapota już nie istnieje. Wszyscy w jednej chwili wybiegli do szatni, żeby obejrzeć nowy szynel pana Akakiusza. Zaczęli mu winszować, wiwatować - że początkowo uśmiechał się tylko, lecz potem zrobiło mu się nawet wstyd. Gdy zaś wszyscy, obstående go, zaczęli mówić, że trzeba nowy szynel oblać, że pan Akakiusz powinien wyprawić dla wszystkich przyjęcie, stropił się zupełnie, nie wiedział, gdzie się podziać, co odpowiedzieć i jak się wykręcić. Cały w pęśach jął nawet zapewniać prostodusznie, że szynel nie jest wcale nowy, że to tylko tak, że to stary szynel. W końcu któryś z urzędników, zdaje się, że nawet jakiś pomocnik referenta, zapewne w tym celu, żeby pokazać, iż nie jest ani trochę dumny i zadaje się nawet z niższymi od siebie, powiedział:

- Niechże tak będzie: ja zamiast pana Akakiusza robię przyjęcie i proszę wszystkich dziś do siebie na herbatkę; tak się zresztą składa oryginalnie, że obchodzę dzisiaj imieniny. Naturalnie, że urzędnicy złożyli natychmiast życzenia pomocnikowi referenta i ochoczo przyjęli zaproszenie. Pan Akakiusz chciał się jakoś wymigać, ale zakrzyczeli go, że to niegrzecznie, że to po prostu wstyd i hańba, i już żadną miarą nie mógł odmówić. Zresztą zrobiło mu się zaraz przyjemnie na myśl, że dzięki temu będzie miał możliwość przespacerować się i wieczorem w swym szynelu. Cały ten dzień był w ogóle dla pana Akakiusza niby wielkie, uroczyste święto. Wrócił do domu w różowym humorze, zdjął szynel i powiesił go troskliwie na ścianie, napawając się raz jeszcze widokiem sukna i podszewki, po czym umyślnie wyciągnął dla porównania swoją kapotę, która się rozlaźła doszczętnie. Spojrzął na nią i nawet się roześmiał: cóż za olbrzymia różnica! I potem jeszcze, podczas obiadu, wciąż się uśmiechał, gdy uprzytamniał sobie stan, w jaki popadła kapota. Zjadł obiad na wesoło i po obiedzie nic już nie pisał, żadnych papierów, a troszkę leniuchował rozkosznie w łóżku, dopóki się nie ściemniło. Wreszcie, nie marudząc ubrał się, wdział szynel i wyszedł na ulicę. Gdzie mieszkał urzędnik, który zaprosił swych kolegów, nie możemy, niestety, wskazać: pamięć zawodzi nas i wszystko, co się znajduje w Petersburgu, wszystkie ulice i domy tak się nam pokiełbały w głowie, że bardzo trudno jest wydobyć stamtąd coś w należytym porządku. Jakkolwiek się rzeczy mają, pewne jest tylko to, że urzędnik mieszkał w lepszej dzielnicy miasta, a więc wcale nie blisko pana Akakiusza. Najpierw musiał pan Akakiusz przebyć jakieś ulice opustoszałe, nikle oświetlone; lecz potem, w miarę jak się zbliżał do mieszkania urzędnika, ulice stawały się bardziej ożywione, ludniejsze i jaśniej oświetlone; coraz częściej migali przechodnie; trafiały się nawet damy pięknie wystrojone; u mężczyzn widziało się kołnierze bobrowe; coraz rzadziej napotykało się tych woźniców z przedmieść, co to mają drewniane, kratowane sanki, nabijane błyszczącymi ćwiekami; przeciwnie - wciąż pędzili chwaccy sankarze w aksamitnych czapach koloru malinowego, w saniach lakierowanych, osłoniętych skórą niedźwiedzi; i mknęły ulicą, świszcząc kołami w śniegu, karety o kozłach ozdobnych. Wszystko to było dla pana Akakiusza nowością, od kilku bowiem lat nie wychodził wieczorami z domu. Z zaciekawieniem przeto stanął przed oświetlonym oknem sklepowym, żeby obejrzeć malowidło wyobrażające piękną kobietę, która zdejmowała bucik, ukazując tym sposobem całą nogę, owszem - zupełnie niebrzydka; za jej plecami wysuwał głowę przez drzwi drugiego pokoju mężczyzna z bokobrodami i piękną hiszpanką pod dolną wargą. Pan Akakiusz pokiwiał głową, uśmiechnął się i poszedł dalej. Dlaczego się uśmiechnął? Czy dlatego, że zetknął się z rzeczą nieznaną, którą wszelako każdy jakoś odczuć potrafi, czy też pomyślał tak, jak myśli wielu innych urzędników.

- Ależ ci Francuzi! Co tu dużo gadać! Jak już coś takiego zrobią, to już rzeczywiście tego... ten... A może nawet nie pomyślał tak; niepodobna przecie wleźć człowiekowi w duszę i wywiedzieć się wszystkiego, co myśli. Nareszcie dotarł

pan Akakiusz do kamienicy, gdzie mieszkał pomocnik referenta. Pomocnik referenta żył na wielką stopę: na schodach paliła się latarnia, mieszkanie było na pierwszym piętrze. Wszedłszy do przedpokoju pan Akakiusz zobaczył na podłodze szeregi kaloszy. Pomiędzy nimi, na środku, stał samowar sycząc i puszczając kłęby pary. Na ścianach wisiały szynele i płaszcze: niektóre z nich miały nawet kołnierze bobrowe albo aksamitne klapy. Za ścianą słychać było hałas i gwar, który raptem stał się wyraźny i dźwięczny, gdy się drzwi otworzyły i wyszedł lokaj z tacą zastawioną opróżnionymi szklankami, garnuszkiem do śmietanki i koszyczkiem sucharków. Urzędnicy snadź zebrali się już dawno i wypili pierwszą szklankę herbaty. Pan Akakiusz powiesił własnoręcznie swój szynel, wszedł do pokoju - i w jednym mgnieniu zamajaczyli przed nim urzędnicy, fajki, świece, zielone stoliki i uszu jego mętnie dobiegała urywana, ze wszystkich stron brzmiąca rozmowa oraz łoskot przesuwanych krzesel. Zatrzymał się niezdarnie na środku pokoju, usiłując pomyśleć o tym, co ma zrobić. Lecz już go zauważono, przyjęto okrzykami i wszyscy udali się natychmiast do przedpokoju, żeby obejrzeć znowu jego szynel. Pan Akakiusz zawstydził się poniekąd, ale jako człowiek szczerego serca nie mógł się nie cieszyć widząc, jak wszyscy chwalą szynel. Wkrótce, ma się rozumieć, wszyscy porzucili i jego, i szynel, i zwrócili się, jak trzeba, ku stolikom, przeznaczonym do wista. Wszystko to: hałas, rozgwar i ciżba - wszystko to wydało się jakoś dziwaczne panu Akakiuszowi. Nie wiedział po prostu, jak się zachować, gdzie podziąć ręce, nogi i całą swą postać; w końcu przysiadł się do graczów, zaglądając w karty, patrzył jednemu z drugim w twarz i po pewnym czasie zaczął ziewać czując nudę, zwłaszcza że dawno już minęła pora, kiedy wedle zwyczaju kładł się spać. Chciał się nawet pożegnać z gospodarzem, ale go nie puszczo no mówiąc, że trzeba będzie koniecznie - z powodu nowego nabytku - wychylić kielich szampana.

Po godzinie podano kolację złożoną z winegretu, cielęciny na zimno, pasztetu, pierożków i szampana. Pana Akakiusza zmuszono do wypicia dwóch kielichów, po których uczył, że w pokoju zrobiło się weselej, nie mógł wszelako w żaden sposób zapomnieć, że już dwunasta i od dawna czas do domu. Żeby gospodarzowi nie strzeliło do głowy zatrzymywać go, wymknął się ukradkiem z pokoju, odszukał w przedpokoju swój szynel, stwierdził nie bez żalu, że się poniewiera na podłodze, otrzepał go, zdjął z niego najdrobniejszy pyłek, włożył na siebie i zszedł po schodach na ulicę. Ulice były jeszcze oświetlone. Tu i ówdzie - malutkie kramiki, owe stałe kluby pospólstwa i wszelkiej czeladzi, były otwarte; inne, acz zamknięte, z których sączyły się strugi światła poprzez długie szczeliny w drzwiach, dawały do poznania, że i one nie są pozbawione towarzystwa; że dziewczki służebne i słudzy kończą tu jeszcze swoje rajcowanie, pogrążając swych chlebobawców w pełną zdumienia niewiedzę co do miejsca swego pobytu. Pan Akakiusz kroczył w najprzyjemniejszym nastroju; pobiegł nawet niespodziewanie i nie wiedzieć czemu za jakąś damą, która minęła go jak błyskawica, a której każda część ciała wibrowała niezwykłym ruchem. Jednakże zatrzymał się natychmiast i poszedł dalej znowu spokojniutko, dziwiąc się sam, skąd mu się raptem zebrało na taki truchcik. Wkrótce zaczęły się ciągnąć owe ulice pustynne, które nawet w dzień są niewesołe - cóż dopiero wieczorem. Teraz stały się jeszcze bardziej głuche i odludne: latarnie migotały coraz rzadziej (widocznie wydzielano mało oliwy); ukazały się rzędy drewnianych domostw i płoty; ani żywej duszy dokoła; skrzył się tylko śnieg na ulicach i czerniały posępnie, śpiące z zamkniętymi okiennicami niziutkie lepianki. Pan Akakiusz doszedł do miejsca, gdzie ulicę przecina olbrzymi plac z ledwie widniejącymi po jego drugiej stronie domami - plac, który zionął straszliwą pustką. Daleko, Bóg wie gdzie, mrugało światełko w jakiejś budce, stojącej, zda się, na końcu świata.

Wesołość poczęła jakoś opuszczać pana Akakiusza. Wstąpił na plac nie bez mimowolnego lęku, jak gdyby jego serce przeczuwało coś niedobrego. Obejrzał się za siebie i na wszystkie strony: istne morze dokoła niego.

- Lepiej nie patrzeć - pomyślał.

I szedł zamknąwszy oczy, a kiedy otworzył, żeby sprawdzić, jak daleko do końca placu, zobaczył naraz przed sobą jakichś ludzi wąsatych - co za ludzi, tego już nie mógł odróżnić. Mgła przesłoniła mu oczy, w piersiach coś załomotało.

- Toż to mój szynelik! - powiedział jeden z nich głosem grzmiącym, chwytając pana Akakiusza za kołnierz. Pan Akakiusz chciał już krzyknąć: "Gwałtu! rety!" - gdy drugi przytknął mu do ust pięść, prawie tak wielką jak urzędnicza głowa, mówiąc:

- Ano, krzyknij!

Pan Akakiusz czuł tylko, jak zdjęto z niego szynel, dano mu kopniaka, że padł plackiem na śnieg, i nic już więcej nie czuł. Gdy po kilku chwilach oprzytomniał i zerwał się na nogi, nikogo już nie było. Poczł, że jest zimno, a szynela nie ma. Zaczł krzyżeć, lecz głos, zda się, nawet nie myślał o tym, żeby dolecieć do krańców placu. Zrozpaczony, nie przestając krzyżeć puścił się przez plac, wprost na budkę, przy której stał stójkowy, i oparłszy się o swoją halabardę patrzył, jak się zdaje, z ciekawością, chcąc wybać, po kiego diabła pędzi do niego z wrzaskiem człowiek. Pan Akakiusz, przybiegłszy do niego, poczał się drzeć zadyszonym głosem, dlaczego śpi, na nic nie uważa, nie widzi, jak rabują człowieka! Stójkowy wytłumaczył, że nic nie widział, że widział tylko, jak pana Akakiusza zatrzymało na środku



placu dwóch ludzi, sądził jednak, że to jego znajomi; niech tedy pan Akakiusz, zamiast wymyślać na próżno, uda się jutro do naczelnika cyrkułu, to naczelnik znajdzie tego, co skradł szynel. Pan Akakiusz przyleciał do domu w zupełnym nieładzie: włosy, które w niewielkiej ilości krzewiły mu się jeszcze na skroniach i potylicy, potargały się zupełnie; pierś, boki i całe pantalony miał w śniegu. Jego stara gospodyni, słysząc straszliwy łomot w drzwi, zerwała się z łóżka i w pantoflu na jednej nodze biegła otworzyć, skromnie przytrzymując ręką na piersiach koszulę. Otworzywszy zachnęła się widząc pana Akakiusza w takim stanie. Kiedy zaś opowiedział jej, co się stało, plasnęła w dłonie mówiąc, że trzeba iść wprost do komisarza, bo naczelnik cyrkułu krętać: przybieca i będzie zwodził; najlepiej więc iść do komisarza, bo to nawet jej znajomy, dlatego że Anna, która przedtem była u niej za kucharkę, poszła teraz za niańkę do komisarza i że ona go nawet często widuje, jak przejeżdża obok ich domu i co niedziela bywa w cerkwi, gdzie się modli przykładnie, a jednocześnie spogląda wesoło na wszystkich, więc z tego wszystkiego widać, że musi to być dobry człowiek. Po wysłuchaniu tych rad smutny pan Akakiusz powlókł się do swego pokoiku; jak tam spędził noc, niech osądzi ten, kto umie wejść w położenie bliźniego.

Nazajutrz z rana udał się do komisarza; powiedziano mu, że śpi; przyszedł o dziesiątej - powiedziano znowu: "Śpi"; przyszedł o jedenastej - powiedziano: "Nie ma komisarza w domu"; przyszedł w porze obiadowej, ale kanceliści w poczekalni nie chcieli go żadną miarą wpuścić, chcąc się koniecznie dowiedzieć, po co przychodzi, w jakiej sprawie, co go sprowadza i co się stało. W końcu pan Akakiusz po raz pierwszy w życiu objawił stanowczość i powiedział wręcz, że musi widzieć osobiście komisarza, że kanceliści nie mają prawa go nie dopuszczać, że przyszedł z departamentu w sprawie urzędowej i że jak się na nich poskarży, to dopiero zobaczą. Temu kanceliści nie ośmielili się już opierać i jeden z nich poszedł zameldować.

Wiadomość o zrabowaniu szynela przyjął komisarz jakoś nadzwyczaj dziwnie. Zamiast zwrócić uwagę na sedno rzeczy, zaczął wypytywać pana Akakiusza: a dlaczego tak późno wracał do domu? a czy nie wstępował po drodze gdziekolwiek? a może był w jakim nieodpowiednim zakładzie? Pan Akakiusz tak się zmieszał i zawstydził, że wyszedł od niego nie mając ani krzty pewności, czy sprawa szynela otrzyma należyty bieg.

Dnia tego pan Akakiusz nie był w urzędzie - po raz pierwszy w życiu. Na drugi dzień zjawił się błądy i w swej starej kapocie, która stała się jeszcze bardziej godna pożalowania. Opowieść o zrabowaniu szynela, acz znaleźli się tacy urzędnicy, którzy nie omieszkali i tym razem pośmiać się z pana Akakiusza, wzruszyła jednak wielu. Postanowiono doraźnie zrobić na niego składkę, ale zebrano jakąś drobnostkę, ponieważ urzędnicy znacznie się przedtem nadszarpnęli, złożony się na kupno portretu dyrektora i jakiejś książki, zaproponowanej przez naczelnika wydziału, który był przyjacielem jej autora; zebrana więc kwota okazała się drobiazgiem. Ktoś, powodowany współczuciem, postanowił przynajmniej pomóc panu Akakiuszowi dobrą radą, tłumacząc mu, żeby nie chodził do naczelnika cyrkułu, dlatego że aczkolwiek może się tak zdarzyć, że naczelnik cyrkułu, chcąc zyskać uznanie zwierzchności, odnajdzie jakimś cudem szynel, jednakowoż szynel pozostanie w rękach policji, dopóki pan Akakiusz nie przedłoży dowodów prawnych, że jest on jego własnością; lepiej więc, żeby się pan Akakiusz zwrócił do pewnej z n a c z n e j o s o b i s t o ś c i, że owa z n a c z n a o s o b i s t o ś ć, po skomunikowaniu się, z kim należy, może wpłynąć na to, by rzecz wzięta obrót pomyślny. Trudna rada: pan Akakiusz odważył się iść do z n a c z n e j o s o b i s t o ś c i. Jakiego rodzaju było i na czym polegało stanowisko z n a c z n e j o s o b i s t o ś c i - pozostaje to do dziś dnia nie znane. Musimy tylko nadmienić, że z n a c z n a o s o b i s t o ś ć dopiero od niedawna stała się znaczną osobistością, przedtem zaś była osobistością nieznaczną. Zresztą urząd, jaki ten dygnitarz piastował, nie był poczytywany za znaczny w porównaniu z innymi, bardziej jeszcze znacznymi. Ale zawsze się znajdzie takie grono ludzi, dla których znaczne bywa to, co w oczach innych jest nieznaczące. Co się tyczy naszego dygnitarza, starał się on podnieść swoje znaczenie za pomocą wielu rozmaitych środków - mianowicie: zarządził, żeby niżsi urzędnicy witali go już na schodach, gdy przychodził do pełnienia swych czynności; żeby się nikt nie ośmielał wchodzić wprost do niego, lecz żeby wszystko się odbywało wedle surowych przepisów: pomocnik referenta miał składać meldunek referentowi, referent - zastępcy sekretarza albo w razie czego samemu sekretarzowi, i żeby już tą drogą sprawa dochodziła do s a m e j o s o b i s t o ś c i. Tak oto święta Ruś zarażona jest naśladownictwem: każdy przedrzeźnia i małpuje swego naczelnika.

Powiadają nawet, że jakiś radca tytularny, gdy zrobiono z niego kierownika jakiejś niewielkiej kancelarii, natychmiast wznosił tam przepierzenie, nazwał to "gabinetem przyjęć" i postawił u drzwiczek jakiegoś woźnego w czerwonym kołnierzu ze złotą naszywką, który ujmował za klamkę i otwierał drzwiczki interesantowi, aczkolwiek w "gabinecie przyjęć" z ledwością mogło się zmieścić zwykłe biurko.

Nawyki i obyczaje z n a c z n e j o s o b i s t o ś c i były dostojne i majestatyczne, lecz nieskomplikowane. Podstawę systemu tego dygnitarza stanowiła surowość. - Surowość, surowość i raz jeszcze: surowość - mawiał zazwyczaj, patrząc znacząco w twarz temu, do kogo się zwracał, aczkolwiek doprawdy nie było do tego najmniejszego powodu, ponieważ dziesięciu urzędników, z których się składał cały mechanizm rządzący jego kancelarii, miało i tak należnego

stracha: zoczywszy go z daleka, wszyscy rzucali pracę i czekali w postawie na baczność, dopóki pan naczelnik nie przejdzie przez pokój. Jego powszednia rozmowa z podwładnymi nacechowana była surowością i składała się zazwyczaj z trzech zdań:

- Jak pan śmiesz?

- Czy pan wiesz, z kim mówisz?

- Czy pan rozumiesz, kogo masz przed sobą?

Poza tym był to w gruncie człowiek dobry, koleżeński i uczynny. Ale tytuł ekscelencji zbił go zupełnie z pantafyku. Otrzymałszy go, jakoś się zabłąkał, wykoleił i nie wiedział zgoła, co zrobić ze sobą. Jeśli mu się zdarzyło być w towarzystwie równych sobie, był jeszcze człowiekiem jak należy - porządnym, pod niejednym względem nawet niegłupim. Ale gdy się znalazł w otoczeniu ludzi choć o jedną rangę niższych, stawał się do niczego: milczał i budził po prostu litość, tym bardziej iż sam czuł, że mógł spędzać z nimi czas nieskończenie milej. Z oczu jego wyglądała nieraz żądza wzięcia udziału w jakiejś zajmującej rozmowie, prowadzonej w jakimś kółku, lecz powstrzymywała go myśl: czy to wypada? czy nie będzie to z uszczerbkiem dla niego? czy nie za wiele poufałości? czy nie narazi na szwank swego dostojenstwa? Skutek tych rozważań bywał taki, że dostojnik pozostawał w stanie mrukiwości, wydając z siebie z rzadka jakieś dźwięki jednozgłoskowe, i zyskał tym sposobem opinię najnudniejszego człowieka.

Do tej właśnie z n a c z n e j o s o b i s t o ś c i zgłosił się pan Akakiusz - i zgłosił się bardzo nie w porę: w chwili najmniej przyjaznej dla siebie, acz wielce przyjemnej dla z n a c z n e j o s o b i s t o ś c i. Dygnitarz siedział w swoim gabinecie, gawędząc nader wesoło z pewnym starym znajomym i towarzyszem swych lat dziecięcych, którego nie widział od dawna, a który dopiero co przyjechał. Zameldowano mu, że przyszedł jakiś Kamaszkin. Zapytał urywanie:

- Kto taki?

- Jakiś urzędnik - usłyszał w odpowiedzi.

- A! niech poczeka. Nie mam teraz czasu - odrzekł ten znaczny człowiek. Tu musimy nadmieniść, że człowiek znaczny łągał jak najęty: miał bowiem czas; od dawna już się nagadał o wszystkim z przyjacielem i od dawna obydwaj przeplatali pogawędkę długimi chwilami milczenia, klepiąc się tylko nawzajem po udach i powtarzając:

- Tak to tak, drogi Iwanie...

- Tak to tak, kochany Stiepanie...

Mimo to dostojnik kazał czekać urzędniczynię, żeby pokazać przyjacielowi, który nie pełnił żadnej służby i porastał w tłuszczy na wsi, jak to urzędnicy muszą u niego wyczekiwać długo w przedpokoju. Wreszcie, nagadawszy się, a raczej namilczawszy się do woli i wypaliwszy cygaro, siedząc w miękkim fotelu z wygodnym oparciem, dygnitarz jak gdyby sobie coś raptem przypomniał i rzekł do sekretarza, który stał przy drzwiach z teczką papierów do podpisu:

- Zdaje się, że tam czeka jakiś urzędnik? Proszę mu powiedzieć, że może wejść.

Widząc korną postać pana Akakiusza i jego staruteńki mundur dygnitarz zwrócił się do niego raptownie:

- Czego pan sobie życzy? - zapytał tym urywanym i ostrym tonem, którego się umyślnie uczył u siebie w domu, w samotności, przed lustrem, już na tydzień przed otrzymaniem obecnego stanowiska i tytułu ekscelencji.

Pan Akakiusz, który już zawczasu czuł przepisową nieśmiałość, stropił się jeszcze bardziej; jak umiał i o ile mu na to pozwoliła łatwość języka, wyjaśnił, dodając częściej niż zazwyczaj partykułę "tego", że szynel niby był całkiem nowy, a teraz jest on obrabowany w sposób nieludzki, zwraca się więc do niego, tj. do ekscelencji, żeby swym wstawiennictwem jakoś tego... żeby się skomunikował z panem nadpolicmajstrem... czy tam z kim innym i odszukał szynel... Ekscelencji, nie wiedzieć czemu, wydało się to wszystko poufałością.

- Cóż to, łaskawco? - zapytał ostro. - Nie znasz pan trybu postępowania? Gdzieżeś to pan trafił? Czy pan nie wiesz, jak się załatwia sprawy drogą urzędową? Powinieneś być pan złożyć podanie w kancelarii, na ręce odnośnego referenta, który by je przekazał kierownikowi działu, ten zaś sekretarzowi, a sekretarz dopiero przedłożyłby je mnie...

- Ależ, ekscelencjo - powiedział pan Akakiusz, usiłując zebrać do kupy resztkę przytomności umysłu, jaka w nim jeszcze pozostała, i czując jednocześnie, że spocił się jak mysz. - Ośmieliłem się niepokoić waszą ekscelencją dlatego właśnie, że sekretarze... tego... to naród niepewny.

- Co? Co? Co? - zapytała z n a c z n a o s o b i s t o ś ć. - Skądżeś to pan nabrał takiej fantazji? Skądżeś nabrał takich myśli? Cóż to za wywrotowość pleni się wśród młodzieży przeciw zwierzchności i przełożonym! Ekscelencja, jak się zdaje, nie zauważył, że pan Akakiusz przekroczył już pięćdziesiątkę i wobec tego, jeśli go nawet można było nazwać młodzieńcem, to chyba tylko stosunkowo, to znaczy w stosunku do tego, kto miał lat siedemdziesiąt.

- Czy pan wiesz, z kim mówisz? Czy pan to rozumiesz? Rozumiesz pan, pytam ja pana?

Tutaj dygnitarz tupnął nogą, wznosząc głos do tak mocnej tonacji, że zrobiłoby się strasznie nawet i nie panu Akakiuszowi, który po prostu zamarł, zachwiał się, zatrząsł na całym ciele i nie mógł się utrzymać na nogach: gdyby nie podbiegli doń woźni, klapnąłby na podłogę: bezwładnego wyniesiono go z gabinetu. Dygnitarz zaś, zadowolony, że efekt przeszedł nawet oczekiwanie, i upojony myślą, iż słowo jego może pozbawić człowieka zmysłów, spojrzął z ukosa na swego przyjaciela, ażeby wy badać, jak on się na to zapatruje, i stwierdził nie bez przyjemności, że przyjaciel znajduje się w stanie zgoła nieokreślonym i nawet sam zaczyna czuć pietra.

W jaki sposób pan Akakiusz zszedł ze schodów i znalazł się na ulicy - tego nie pamiętał. Nie czuł ani rąk, ani nóg: nigdy w życiu nie był jeszcze tak zbesztany przez żadnego dygnitarza, na domiar z innego departamentu. Szedł w zawiei gwizdzącej po ulicach, rozdziawiwszy usta, zbaczając z chodników; wichura - zwyczajem petersburskim - dęła na niego ze wszystkich stron, ze wszystkich zaułków. W mig nadmuchała mu do gardła zapalenie; dowlókł się do domu nie mając siły wykrztusić z siebie jednego słowa: cały napuchnięty położył się do łóżka. Takie bywają niekiedy skutki należytego zhepania!

Nazajutrz wystąpiła gwałtowna gorączka. Dzięki wspaniałomyślnemu poparciu klimatu petersburskiego choroba rozwinęła się szybciej, niż można się było spodziewać; gdy zjawił się lekarz i pomacał tętno pana Akakiusza, uczył się zmuszony przepisać mu tylko okłady, wyłącznie po to, żeby nie pozbawiać chorego dobroczynnej pomocy medycyny; zresztą zapowiedział, że w ciągu półtorej doby najpóźniej z panem Akakiuszem będzie bezwarunkowo kaput; toteż, zwracając się do gospodyni, oświadczył:

- Wy, babciu, nie traćcie na próżno czasu, a obstalujcie zaraz trumnę sosnową, bo na dębową go nie stać.

Czy pan Akakiusz słyszał ten fatalny wyrok na siebie, a jeśli słyszał, czy doznał wrażenia wstrząsającego, czy zrobiło mu się żal swego nieszczęsnego życia - nic o tym nie wiadomo, albowiem cały czas leżał w gorączce i majaczył. Zjawy, jedna dziwniejsza od drugiej, ukazywały mu się nieustannie: to mu się zwidywał Pietrowicz, u którego zamawiał szynel, z jakimiś potrzaskami na złodziejów zakradających mu się ustawicznie pod łóżko, że wzywał co chwila gospodynię, aby wyciągnęła jednego z nich nawet spod kołdry; to znowu pytał, po co wisi przed nim stara kapota, skoro ma nowy szynel; to mu się troiło, że stoi przed ekscelencją wysłuchując należytego besztania i powtarza: "Ekscelencja wybaczy, ekscelencjo", to wreszcie wygadywał takie sprośności, wymawiał tak plugawe słowa, że stara gospodyni żegnała się nawet, nigdy dotychczas nie słysząc z ust jego nic podobnego - tym bardziej że wyrazy owe następowały bezpośrednio po słowie "ekscelencja". W końcu mówił już zupełnie od rzeczy, że nic nie można było zrozumieć; widać tylko było, że jego słowa beładne i myśli obracają się wciąż dokoła szynela. Wreszcie biedny pan Akakiusz wyzionął ducha. Ani pokoju, ani rzeczy jego nie opieczętowano, albowiem - po pierwsze, nie było spadkobierców, po wtóre - spadek pozostał całkiem nieznaczny, a mianowicie: pęczek piór gęsich, libra białego papieru skarbowego, trzy pary skarpetek, kilka guzików od pantalonów i znana już czytelnikowi kapota. Komu to wszystko przypadło - Bóg raczy wiedzieć; autor niniejszej opowieści wyznaje, że nawet się tym nie zainteresował. Pana Akakiusza pogrzebano. I Petersburg pozostał bez pana Akakiusza, jak gdyby go w ogóle tam nigdy nie było. Zniknęła i skryła się istota, którą się nikt nie zajmował, nikt jej nie brał w obronę, nikt nie kochał, która nie zwróciła nawet na siebie uwagi przyrodnika, co to nie przepuści zwykłej muszce, żeby jej nie wetknąć na szpilkę i nie rozpatrzeć pod mikroskopem - istota, która pokornie zносиła drwiny kancelaryjne i zesłała do grobu nie dokonawszy żadnego niezwykłego czynu. Wszelako u kresu jej życia, wprowadzie na chwilę tylko, nawiedził ją jednak i opromienił jej biedny schyłek miły gość w postaci szynela, aby wnet potem zważyło się na nią nieszczęście nie do zniesienia, tak samo jak spada ono na głowy możnych świata tego.

W kilka dni po śmierci pana Akakiusza przysłano do niego z departamentu woźnego z rozkazem, żeby się zjawił natychmiast: pan naczelnik go niby wzywa. Ale woźny powrócił z kwitkiem, że pan Akakiusz nie może już przyjść. Na zapytanie: "dlaczego?" - odpowiedział:

- A tak. Bo mu się zmarło. Onegdaj pochowali.

Tą drogą departament dowiedział się o śmierci pana Akakiusza. I na drugi już dzień na miejscu jego siedział nowy urzędnik, wzrostu znacznie odeń wyższego i kaligrafujący litery pismem nie prostopadłym, lecz daleko bardziej pochyłym i ukośnym. Lecz któż mógłby sobie wyobrazić, że tutaj nie koniec historii pana Akakiusza, że było mu przeznaczone huczne życie w ciągu kilku dni po śmierci, jak gdyby w nagrodę za to, że za życia nikt go nie zauważał. Tak się jednak złożyło - i smutna opowieść nasza niespodziewanie otrzymuje zakończenie fantastyczne.

Po Petersburgu rozeszły się nagłe słuchy, że przy moście Kalinkinowym i w jego okolicy ukazuje się nocami upiór w postaci urzędnika, który szuka jakiegoś zrabowanego szynela i pod tym pozorem zdziera ze wszystkich, nie bacząc na rangę i stanowisko, rozmaite płaszcze: na kotach, na bobrach, na wacie, szuby oposowe, lisie, niedźwiedzie – słowem wszelakiego rodzaju futra i skóry, jakie wymyślili ludzie, żeby przykryć własną. Jeden z urzędników departamentu widział na własne oczy upiora i natychmiast rozpoznał w nim pana Akakiusza; obleciał go jednak taki strach, że wziął nogi za pas i skutkiem tego nie przyjrzał mu się dokładnie: widział tylko, jak tamten z daleka pogroził mu palcem. Zewsząd zaczęły napływać nieprzerwane skargi, że plecy i ramiona - niech by już tytularnych - ale nawet nadwornych radców narażone są na przeziębienie z powodu nieustannego ściągania z nich szynelów. W policji wydano zarządzenie, aby schwytać upiora za wszelką cenę - żywego czy umarłego, i ukarać go dla przykładu innym, w sposób najbezwzględniejszy. I o mały włos to się nie udało. A mianowicie: stójkowy, mający posterunek w zaułku Kiriuszkinowym, złapał już był upiora za kołnierz na gorącym uczynku zdzierania palta syberynowego z jakiegoś wystuzonego muzykanta, który w swoim czasie grywał na flecie. Złapawszy go za kołnierz, stójkowy zaczął przywoływać dwóch swoich kolegów, którym polecił trzymać upiora, sam zaś sięgnął na jeden moment za cholewę po tabakierkę brzeziniową, żeby orzeźwić swój nos, sześciokrotnie w życiu odmrażany; lecz widocznie tabaka była takiej mocy, że nie mógł jej znieść nawet upiór. Nie zdążył jeszcze stójkowy, zatykając palcem prawe nozdrze wciągnąć w lewe pół garści, gdy upiór kichnął tak gwałtownie, że zapryskał wszystkim trzem oczy. Zanim podnieśli pięści, żeby je przetrzeć, po upiorze ślad wszelki zaginął: stójkowi nie byli nawet pewni, czy mieli go rzeczywiście w rękę. Od tej chwili nabawili się takiego strachu przed upiorami, że bali się łąpać nawet żywych, i z daleka pokrzykiwali:

- Hejże tam! Przechodzić, przechodzić!

Wobec powyższego upiór urzędnika począł się zjawiać nawet za mostem Kalikinowym, napędzając wiele strachu wszystkim ludziom bojaźliwym. Wszelako porzuciliśmy całkiem pewną z n a c z n a o s o b i s t o ś ć, którą w istocie należałoby uznać za przyczynę fantastycznego obrotu, jaki wzięła nasza historia, zresztą najzupełniej prawdziwa. Przede wszystkim w imię sprawiedliwości musimy oznajmić, że pewna z n a c z n a o s o b i s t o ś ć wkrótce po wyjściu biednego, startego na proch pana Akakiusza uczuła coś w rodzaju żalu. Współczucie nie było obce temu dostojnikowi; serce jego umiało się zdobyć na szlachetne odruchy, aczkolwiek wysoka ranga bardzo często nie pozwalała się im ujawniać. Zaledwie przyjaciel, bawiący przejazdem, opuścił jego gabinet, dygnitarz nawet się zamyślił nad biednym panem Akakiuszem. Od tej chwili niemal codziennie stawał mu w oczach blady pan Akakiusz, który nie wytrzymał urzędowego zhepania. Myśl o nim gryzła dygnitarza tak mocno, że po upływie tygodnia postanowił nawet postać do niego kancelistę, żeby się dowiedzieć, co tam u niego i czy w rzeczy samej nie można mu jakoś dopomóc; kiedy więc doniesiono mu, że pan Akakiusz nagle a niespodziewanie umarł na gorączkę zapalną, wstrząśnięty tą wiadomością dygnitarz uczuł wyrzuty sumienia i nawet na cały dzień stracił humor.

Chcąc się nieco rozerwać i otrząsnąć z przykrego wrażenia, udał się wieczorem do jednego ze swych przyjaciół, u którego zastał miłe towarzystwo, i - co najważniejsza - wszyscy tam byli prawie w tej samej randze, skutkiem czego mógł się nie czuć wcale skrępowany. Odbiło się to w sposób zdumiewający na jego nastroje. Popuścił sobie cugli, zrobił się rozmowny, uprzejmy - słowem, spędził wieczór bardzo przyjemnie. Przy kolacji wypił ze dwie szklanki szampana, który, jak wiadomo, jest środkiem niezłe działającym w sensie rozweselenia. Szampan rozbudził w nim popęd do różnych nadzwyczajności - mianowicie: dygnitarz postanowił nie wracać jeszcze do domu, lecz zajechać do pewnej znajomej damy - pani Karoliny, osoby, jak się zdaje, pochodzenia niemieckiego, z którą łączyły go stosunki całkowicie przyjacielskie.

Trzeba nadmienić, że z n a c z n a o s o b i s t o ś ć był to człowiek już niemłody, przykładowy małżonek, poważny ojciec rodziny. Dwaj synowie, z których jeden już był urzędnikiem, i przystojna szesnastoletnia córka z noskiem nieco zadartym, lecz ładniutkim, przychodzili co rano ucałować go w rękę, mówiąc: bonjour, papa.. Jego małżonka, kobieta jeszcze świeża i niebrzydka, dawała mu najpierw do pocałowania swoją rękę, po czym, odwracając ją na drugą stronę, całowała jego ręką. Jednakże dygnitarz, którego te domowe czułości rodzinne najzupełniej zadowalały, uznał za stosowne pozostawać jeszcze w zażytych związkach z przyjaciółką w innej dzielnicy miasta. Przyjaciółka ta nie była

bynajmniej ani młodsza, ani ładniejsza od jego żony; wszelako zagadki takie bywają na świecie i rozwiązywać je nie jest naszą rzeczą.

Tak więc dygnitarz zszedłszy ze schodów siadł do sanek i rzucił stangretowi: "Do pani Karoliny", sam zaś, zatuliwszy się błogo w ciepły szynel, pogrążył się w tym rozkosznym nastroju, nad który trudno wymyślić coś bardziej rozkosznego dla Rosjanina: polega on na tym, że człowiek sam o niczym nie myśli, a tymczasem myślniki same włożą mu do głowy, jeden przyjemniejszy od drugiego, i nie potrzeba ani trochę wysiłku, żeby się uganiać za nimi i szukać ich. Pełen zadowolenia, dygnitarz przypominał sobie leciutko najweselsze chwile spędzonego wieczoru, słówka, które pobudzały do śmiechu dobre grono; wiele z nich powtarzał nawet półgłosem, dochodząc do wniosku, że są tak samo śmieszne jak przedtem; nie dziwota więc, że się podśmiewał w duszy. Jednakowoż od czasu do czasu przeszkadzał mu gwałtowny wicher, który, wyrwawszy się nagle Bóg wie skąd i nie wiedzieć z jakiego powodu, zacinał go po twarzy, ciskał w nią grudkami śniegu, napinał jak żagiel pelerynkę szynela albo też zniecka z nienaturalną siłą zarzucał mu ją na głowę, sprawiając tym sposobem okropny kłopot z wygrzebywaniem się z niej.

Raptem z n a c z n a o s o b i s t o ś ć uczuła, że ktoś ją złapał nader mocno za kołnierz. Odwróciwszy się ujrzała człowieka wzrostu niedużego, w starym znoszonym mundurze i nie bez przerażenia poznał w nim pana Akakiusza. Twarz urzędnika była biała jak śnieg i wyglądała najzupełniej trupio. Ale przerażenie dygnitarza przeszło wszelkie granice, gdy zobaczył, że usta upiora wykrzywiły się i, zionąc na niego straszliwie stęchliwą grobową, wyrzekł te słowa:

- A tuś mi wreszcie, bratku! Złapałem cię nareszcie... tego... za kołnierz! Właśnie twego szynela potrzebuję. Nie zatroszczyłeś się o mój, jeszcześ mnie zbeształ - oddajże teraz swój!

Biedny dygnitarz o mało nie umarł. Aczkolwiek bardzo stanowczy w urzędzie i w ogóle wobec podwładnych, aczkolwiek każdy, kto tylko rzucił okiem na jego męską postawę, mówił od razu: "Ależ to charakter" - w danym wypadku, jak to bywa często z ludźmi o wyglądzie bohaterskim, doznał takiego strachu, że nie bez powodu zaczął się lękać jakiegoś paroksyzmu. Własnoręcznie zrzucił co prędzej z ramion szynel i krzyknął stangretowi nieswoim głosem:

- W te pędy do domu!

Słyszając głos, który zazwyczaj wydaje człowiek w chwilach decydujących i któremu najczęściej towarzyszy coś bardziej rzeczowego, stangret wtulił na wszelki wypadek głowę w ramiona, zamachnął się batem i pomknął jak strzała. W niespełna siedem minut z n a c z n a o s o b i s t o ś ć znalazła się już przed podjazdem swego domu. Błada, wystraszona, bez szynela, zamiast do pani Karoliny przyjechała do siebie, dowlokła się jako tako do swego pokoju i spędziła noc w takim zamęcie, że nazajutrz z rana, przy herbacie, córka powiedziała jej wprost:

- Jesteś dziś bardzo blady, papa.

Lecz papa milczał i nikomu ani słówkiem o tym, co mu się przytrafiło, gdzie był i dokąd jechał. Opisany wypadek wywarł na nim wielkie wrażenie. Znacznie rzadziej mówił teraz do podwładnych: "Jak pan śmiesz? Czy pan rozumiesz, kogo masz przed sobą?" - a jeśli nawet zwracał się w ten sposób, to dopiero wówczas, gdy wysłuchał, o co chodzi.

Ale jeszcze bardziej znamienne jest to, że od tej chwili urzędnik-upiór całkiem się przestał ukazywać: snadź szynel ekscelencji był dla niego w sam raz. W każdym bądź razie nie słychać było już odtąd o wypadkach, żeby z kogoś zdzierano płaszcz, acz wielu ludzi, przepełnionych troską obywatelską, nie chciało się żadną miarą uspokoić i rozpowiadało, że na krańcach miasta wciąż jeszcze się zjawia upiór urzędnika. Jakoż pewien stójkowy na Kołomnie widział na własne oczy, jak zza węgła jakiegoś domu wyszło widmo; lecz będąc nieco słabowity z natury (pewnego razu zwykły wieprzak, wypadłszy z jakiegoś prywatnego domu, zwałił go z nóg ku niezmiernej uciesze tłoczących się dokoła dorożkarzy, od których zażądał natychmiast po groszu na tabakę za takie naigrywanie się) - będąc tedy słabowity, nie odważył się zatrzymać widma, szedł tylko sobie za nim w ciemnościach dopóty, dopóki się w końcu widmo nie obejrzało i pokazując mu taką pięść, jakiej nie posiada nikt z żyjących, zapytało:

- A ty czego?

- A nic, tak sobie - odpowiedział stójkowy i natychmiast zawrócił.

Widmo to jednakże było wzrostu znacznie wyższego, miało olbrzymie wąsy i skierowawszy, jak się zdaje, swe kroki w stronę mostu Obuchowa, znikło całkiem w pomroku nocy.

Przełożył Jerzy Wyszomorski